



Błogosławieństwo Wielkanocne

Na pobliskiej wieży kościelnej zegar wybił trzecią, a mąż samotny wciąż jeszcze siedział przy świetle lampy przed wysuniętą szufladą biurka, zawierającą mnóstwo listów. Otwierał i czytał jeden za drugim.

Jakaż ona była, o jakaż ona była!

Były to listy jego zmarłej żony. W ostatnich latach zdarzało się tak często, że się nie rozumieli i on – tak on – był wówczas niecierpliwy, zagniewany, oburzony, ona zaś spokojnie podnosiła ku niemu swe wielkie oczy – o tak, spokojnie, że go aż gniewało, bo w głębi serca wstydył się – i wychodziła. Często była blada i smutna, ale zawsze uprzejma, a potem znajdował na biurku lub na łóżku list od niej.

Nie lubił tych listów, bo go zawstydzaly – do czego się dziś przyznawał. Wiedział już, co w nich jest, przeglądał je pobieżnie i odkładał. A ona wszystkie je zbierała i, troskliwie uporządkowawszy, chowała. Dziś, gdy od niego odeszła, czytał je wszystkie.

O, jakaż ona była! Jaką dobrocią i czystością, jakim pokojem zionęły te listy. Nigdy nie słyszał od niej marnego słowa. Lecz ona od niego – o jak wiele! Zawsze wiara jej była przyczyną gniewu. Przesadną, fanatyczną, głupią nazywał ją. Ta wiara irytowała go, on nie mógł jej podzielać. – Tu zdało mu się, że słyszy jej łagodny głos: „Mógłbyś, gdybyś chciał”.

Ach, jakże on mógłby chcieć! On, człowiek oddający się nauce, dzielny prawnik, żyjący całkiem życiem realnym, jakże on mógłby zajmować się tymi rzeczami co Maryla. On nie mógł – w tej chwili wyznawał przed sobą – on nie chciał i nie chce.

Ale listy, jej listy nie opuszczały go. Jaką wielkość, jaką całość przedstawiały one! Jaki doskonały obraz cudownego wewnętrznego piękna ukazywały mu. Ani jeden nie zawierał wymówki. Wszystkie tchnęły dobrocią, miłością, spokojem. A jednak miał wrażenie, że zaczyna ją krępować go więzy, że czuje silne ciągnięcie. Ona nie ustąpiła pomimo swej uległości i cierpliwości, ona pozostała świętą do ostatniego tchnienia. I jako święta mówiła teraz do niego – mową, o jaką mową!

Czemu jeszcze nigdy nie widział jej taką, jaką była? Ukrył twarz w dłoniach i czuł, że oblał się rumieńcem – „Dlatego, że nie chciał”!

– A dziś, teraz, kiedy przeczytał listy jej, kiedy ujrzał jej

subtelna duszę!, kiedy zrozumiał ją – czy dziś chciał? „Nie, nie”! krzyczała дума jego. „Nie, nie”! Ale listy te w swej cudownej harmonii ukazały mu coś, czego nigdy nie zdołał zapomnieć – Odstąpił oblicze i utkwiał wzrok w liście, leżącym przed nim: „Nigdy nie myśl, Umiłowany, że może już za późno, gdy kiedyś przyjdzie godzina, gdy i Twoje kolano skłoni się przed Tym, w imieniu którego kiedyś wszelkie kolano skłaniać się będzie. Tedy niech do serca Twego nie wstępuje żadna bolesna myśl o mnie, ani powątpiewanie, że może już za późno, a tylko radość, niezmacona radość, że nadeszła Twoja godzina łaski”!

Mąż samotny stał się niespokojny. Wstał, otworzył okno i jął spoglądać w wiosenną noc Jak niezmierny noc ta roztaczała urok!

„Patrz, jak wszystko zmartwychwstaje”! powiedziała kiedyś Maryla, gdy szedł z nią wiosną przez ogród. Wielkim dziwactwem była dlań właśnie ta wiara w zmartwychwstanie. Myślał o Maryli. Jaką mocą obdarzyła ją wiara jej, jak obfite bogactwo i piękno miała w sobie. Posiadać wiarę taką, to zaprawdę rzecz niezrównana. Czyż miał sądzić, że wiara ta była daremna? Gdyby on mógł?! Walczył ze swą dumą. Jak mówiła Maryla w listach swoich? Tylko jeden kamień Ci zalega – kamień wielki, ciężki – Twe „ja”. Gdybyś to poznał, prosiłbyś Tego, który jest możniejszy niż wszyscy ludzie, by pomógł Ci odwalić ów kamień, a potem byłbyś szczęśliwy”! – Tak, teraz widział ów wielki ciężki kamień. Miałby więc rzeczywiście prosić Mocniejszego?...

Walcząc, spoglądał znów w noc. Zegar na wieży wybił czwartą i zaczęły dzwonić dzwony. – Zmar-twych-wsta-nie, zmar-twych-wsta-nie! – mówił głos ich moczającej się duszy samotnego. Dokoła wiosna rozlewała swą wonność, tam leżały listy wydające wonność jeszcze znacznie mocniejszą, przenikającą całą jego jaźń.

Tedy obiema rękoma ujął ów wielki, ciężki kamień i począł go odsuwać – tedy skłoniły się kolana jego, łzy – pierwsze od śmierci Maryli – puściły mu się z oczu i kornie rzekł w cichy, wonny, poranek!

„Panie, dopomóż mi – ja chcę!”

R-
„Straż”